

Czy Śląsk stanie?

18 grudnia 2012

Kiedy 5 lat temu w Europie uderzyła pierwsza fala kryzysu największe polskie związki zawodowe dały się wyprowadzić w pole jak naiwne dzieci. Jeden po drugim posłusznie podpisały rządowy pakt antykryzysowy dający pracodawcom możliwości jeszcze łatwiejszego zwalniania pracowników niż to było do tej pory i otwierający szeroko możliwości zatrudniania na niepewnych warunkach. Ta kompromitująca porażka warta jest przypomnienia dziś, gdy już niemal wszyscy, nawet najbliżsi sektora bankowego eksperci trąbią o spadku dynamiki gospodarczej, zza którego wygląda widmo recesji. Kolejna fala kryzysu, która od wiosny roku 2010 zalewa peryferyjne gospodarki strefy euro dociera do Polski, a cięcia w budżecie unijnym wspierane przez bezmyślne gwiazdy polskiej przedsiębiorczości w rodzaju Henryki Bochniarz, czynią ją nieuniknioną. Premier Tusk i minister Rostowski dobrze wiedzą co robią, usiłując walczyć o unijny budżet. Prawda, że w skali całej Unii jest on żalosnym karłem, nie pozwalającym na jakąkolwiek politykę ekonomiczną – wynosi ledwie 1% PKB UE, podczas gdy budżet USA to 23% ich PKB. Polska jednak zawdzięcza dotacjom unijnym bardzo dużo. Są one poważnym źródłem kreowania inwestycji w naszym kraju. Bajki o wolnym rynku i niskich podatkach jako źródle stabilnego wzrostu i racjonalnej alokacji od dawna nie wytrzymują konfrontacji z rzeczywistością i opisującymi ją statystykami.

Polski paradoks polega na tym, że publiczny charakter inwestycji (łączna ich wartość to 5,7% PKB, czyli jeden z najwyższych wskaźników w całej Unii [1]) z jednej strony podważa fundamentalne założenia neoliberalnej doktryny wzrostu gospodarczego, a z drugiej pozwala prowadzić politykę do tych założeń się odwołującą. Sytuacja ta odbiera wartość retoryce uzasadniającej psucie rynku pracy przez zamrażanie wzrostu płac i deregulację form zatrudnienia, koniecznością

przyciągania prywatnych inwestycji. Zarazem jednak budżet unijny i publiczne pieniądze finansują w Polsce wzrost bez podwyżek płac i zwiększania zatrudnienia. Służą także pacyfikacji nastrojów społecznych.

W minionej dekadzie polscy pracownicy prawie nie strajkowali. W porównaniu z resztą Europy nasz kraj był strefą niemal niezakłóconego pokoju społecznego. Efektem uległości naszej klasy pracującej, wyrażającej się w kapitulancie postawie dużych organizacji związkowych było dwucyfrowe bezrobocie, niskie płace, prywatyzacja systemów zabezpieczenia socjalnego z emeryturami na czele i wreszcie zastraszająco wysoki poziom deregulacji stosunków pracy. Kapitał, przy poparciu państwa, forsuje swoje partykularne interesy, sprzedając je związkom zawodowym w opakowaniu neutralnych wymogów konkurencji z taną siłą roboczą z Chin, globalizacji, kryzysu itp.

Dlaczego jest tak źle? Wedle Eurostatu w ub. roku w Unii żyło 119,6 mln osób zagrożonych ubóstwem lub wykluczeniem społecznym. To 24,2% całej populacji UE. W Polsce na granicy biedy żyje 27,2% mieszkańców. Jeżeli porównamy to z wynikami najbardziej dotkniętej kryzysem Grecji okaże się, że mit Polski jako zielonej wyspy był od początku nieuzasadniony. Otóż w Grecji po dwóch latach ciężkiego kryzysu liczba żyjących na granicy biedy wzrosła do 31%, podczas gdy w Polsce bardzo zbliżone wskaźniki są normą od lat.

Od dwóch dekad polskie społeczeństwo żyje w stanie permanentnego kryzysu. Ta sytuacja w dużej mierze tłumaczy słabość ruchu związkowego i społeczeństwa obywatelskiego w naszym kraju – ekonomiczna presja rozbija więzi solidarności i wiarę w skuteczność demokratycznej samoorganizacji.

Jest jednak szansa, że nadciągająca fala kryzysu to zmieni. Od jakiegoś czasu rośnie skłonność różnych grup społecznych do protestu – od demonstracji przeciw ACTA, przez miasteczko emerytalne i delikatne oblężenie sejmu przez Solidarność, ożywienie ruchów miejskich przeciw cięciom budżetowym i

łamaniu praw lokatorskich aż po demonstrację pielęgniarek. Także sporadyczne i przegrane, ale bardzo dramatyczne strajki w Hucie Batory i Chung Hong pokazują skalę społecznego oburzenia. Co więcej, rząd tracąc możliwości napędzania inwestycji środkami unijnymi będzie musiał porzucić miraż wzrostu PKB osiąganego bez zmniejszania biedy i zacząć liczyć się z koniecznością budowy społecznych warunków rozruszania gospodarki (te warunki to po prostu wzrost płac i re-regulacja rynku pracy). W tym kontekście zapowiedź strajku generalnego na Śląsku można odczytywać jako sygnał mówiący, że tym razem związki zawodowe nie dadzą się nabrać na kolejny pakt antykryzysowy, za który będą mieli zapłacić pracownicy. Postulaty Międzyzwiązkowego Komitetu Strajkowego żądające m.in. ograniczenia stosowania umów śmieciowych i likwidacji NFZ dotyczą zasadniczych dziś kwestii społecznych w skali całego kraju. Akcja miałaby znaczenie historyczne – to pierwszy strajk generalny w Polsce po 1989 r. Pozostaje pytanie czy Solidarność, OPZZ i FZZ sprostają wyzwaniu, które same rzuciły. Doświadczenie uczy, by nie ulegać entuzjazmowi. Słabość największych związków zawodowych sprawia, że porażka całej akcji jest wciąż bardziej prawdopodobna niż jej powodzenie. Jeżeli jednak w lutym 2013 r. Śląsk stanie, może to oznaczać zmianę tej sytuacji i szansę, że kryzys nie będzie tylko kolejnym pretekstem do przykręcenia śruby polskim pracownikom.

Autor: Przemysław Wielgosz

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)

PRZYPIS

[1] Więcej na ten temat w artykule Gavina Rae „Inwestycje ratują polską gospodarkę”, w tym numerze Le Monde diplomatique – edycja polska, strony 8-9.